XXIV. Kraków, 15 czerwca 1921 r. Nr. 12.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przes. poczt. 114 M. — f. Do Ameryki rocznie 3 dolary.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 63 (dom własny). Telefon Nr. [illegible]

[illegible]

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień" Łódź, Piotrkowska 81.

CENY OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitowy jednoszpaltowy na stronie inseratowej Mrk. 10·—, na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mrk. 15·—, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy Mrkp. 20·—, za wiersz petitowy w części redakcyjnej Mrkp. 30·—.

Numer pojedynczy 20 Marek. Redaktor: K. Krumłowski. Numer pojedynczy 20 Marek.



On: Nad czem się tak długo zastanawiasz, czyżby ci żal było za tem, co już przeszło?
Ona: O! co to, to nie... myślę o tem, czy i dawniej byłeś tak zaraz gotów do wyjścia...



Z czerwcowego karnawału.

Ciepłe noce, ciepłe ranki,
Śpiew słowika słychać w gąszczy,
Niebo kraszą gwiazd kaganki
Nastrój tworzą głosy chrząszczy.

Miłość kwitnie jak kwiat róży,
I rozwija się wnet z pączka;
Pączuś mały w mig jest duży,
Gdy go dotknie się jej rączka...

Wokół słychać życia tętna,
Czuć rozkoszy wiele, wiele —
Hotelarzy dola smętna:
Pustką stoją ich hotele!

Kominiarz.

Pani Wanda, zgniewana na swoją córeczkę, która to dziś była bardzo niegrzeczną, straszyła ją kominiarzem. W tej właśnie chwili wszedł do pokoju pan Karol, przyjaciel domu.

— Nie widział pan przypadkiem gdzie kominiarza? — zapytała pani Wanda przybyłego.

— Nie, pani dobrodziejko — odpowiedział. A dla kogóż potrzebny?... Jeśli dla pani, to ja mogę go zastąpić a ręczę, że załatwię się tak sprawnie, jak zawodowy kominiarz. W tym kierunku mam już odpowiednie doświadczenie.

Nowoczesna spółka.

— Słyszałam, że Karol i Adam zawarli spółkę?

— Tak... Karol włożył do spółki pieniądze, Adam swoje doświadczenie kupieckie...

— W takim razie niedługo chyba czekać, a spółka się rozwiąże, wspólnicy zaś wyjdą z niej w zmienionych rolach, Adam z pieniądzmi, Karol z doświadczeniem.

Facecye autentyczne.

Nasz ulubieniec, pan S., przysłuchuje się w knajpce rozmowie znajomych o sprawie górnośląskiej. Wszyscy występują naturalnie przeciw Lloydowi Georgowi, który odmawia nam spraw do Górnego Śląska, a tak skwapliwie oddał żydom Palestynę.

— My żydzi, Palestyny wcale nie pragniemy — zabrał głos pan S. — Bo i cóż nam z niej przyjdzie... Co na przykład ja, który handluję węglami, miałbym tam do roboty, skoro w Palestynie jest tak gorąco przez cały rok, że Arabowie nie palą wcale w piecach, a jajka to sobie grzeją... w piasku.

* * *

Tegoż samego pana S. spotkawszy „pod Palmą“ zagadnął jeden ze znajomych: — Pana łaskawego można spotkać we wszystkich knajpkach...

— Ja temu nie jestem winien. — pan S. na to — tylko moje kalosze...

— Kalosze?...

— Tak, kalosze... Kościuszko miał takiego konia, który stawał, spotkawszy w drodze żebraka, a ja mam w domu takie kalosze, które manie prowadzą od knajpki do knajpki, choć ja nie mam wcale ochoty... I nie wiem, kto tam winien, ten co je zrobił, czy ten, co mi je sprzedał.

Echa bielańskie.

By oczyścić swoją duszę,
Poszedł Kantek na Bielany,
Lecz się zawiódł w swych zamiarach,
Wrócił... bardziej zababrany!

I na zdrowie źle wpłynęła,
Tradycyjna ta zabawa,
Zakatarzył się paskudnie,
Gdyż wilgotna była trawa.

Cierpień tych zaś nie uleczy,
Najsilniejsza nawet wiara,
Chcąc mieć ulgę, trzeba słuchać,
Rad dr. Schwarza lub Boczara.





A jednak jadą.

Aż do znudzenia, zaraz po ślubie
Nudzi mnie żona: „Mężu kochany
Choćby na tydzień, tak dla odmiany
Jedźmy gdzie — jeździć namiętnie lubię“...

Podróż poślubna jest niemal prawem,
A my siedzimy dotąd w Krakowie...
I rzuci na mnie wejrzeniem łzawem...
Więc jej odpowiedź dałem w tem słowie:

„Duszko kochana! błędna teorya
Jak widzę, wiedzie cię na manowce,
Podróż poślubna, to alegorya,
Którą rozumieć można, jak kto chce.

I małżonkowie nie zawsze muszą
W świat gdzieś szeroki jechać z paradą —
Znam takich, co się za próg nie ruszą,
A jednak...!“

List Jasia do Kasi.

... Przyjdź dzisiaj do mnie wieczorem, Kochana Kasiu, ale bez majtek, gdyż mam ci coś bardzo ważnego powiedzieć, a zależy mi na czasie...

Niesłuszne podejrzenia.

— Dawno nie widziałem naszego prezesa. Wyjechał, czy może chory?

— Widziałem się z nim wczoraj. Szedł na klinikę położniczą...

— Biedaczysko!... Można się było spodziewać, że to go czeka... Zbyt gorliwie zajął się losem „chrzestnych matek wojennych“ i to wpłynęło nań tak fatalnie... Gdym go widział ostatni raz, zauważyłem w nim pewną zmianę, nie przypuszczałem jednak nawet, aby miało zajść aż tak daleko... A znane są w medycynie wypadki, że u ludzi odmienia się natura...

NIEPOROZUMIENIE.

(HISTORYA, TYM RAZEM PRAWDZIWA).

— Skaranie boskie — narzekał pan Ludwik, znalazłszy się w swej knajpce — z temi służącemi!... Teraz dopiero pojmuję, jak mądrze czynią ci, którzy, znalazłszy dobrą i uczciwą służącą, żenią się z nią, aby mu jej kto z przed nosa nie zdmuchnął... A dawniej wydawało mi się to śmieszne.

I poprawił swą długą brodę, która była jego dumą, a zarazem przyniosła mu i korzyść, mógł się bowiem łatwo obejść bez krawatki, a wiadomo, jakie one dziś drogie!

Trzeba zaś wiedzieć, że pan Ludwik miał zupełnie słuszny powód do narzekania, niebiosa bowiem, a raczej Bocian sług obdarzyło go tego rodzaju Westalką!..., iż mógł się zniechęcić do życia domowego najmniej nawet wymagającego. Dodać nadto należy, że pan Ludwik, jako wdowiec, łączył w jednej osobie pana i panią domu, na jego zatem głowę spadały wszystkie kłopoty domowe, których nie brakło przy tak licznej, jak jego rodzinie...

A do tego jeszcze ta sługa!... Na samo jej wspomnienie już mu się niedobrze robiło, musiał zatem dla swego zdrowia łyknąć kieliszek gorzkiej, aby klin wybić klinem.

Kapłanką ogniska domowego była sobie panna Melcia, zwykły, jak to mówią po krakowsku, „szturmak miejski“, z jakiegoś zapadłego kąta w Kongresówce, który jednak przez kilka lat pobytu w Krakowie miał czas i sposobność do „wydystyngowania się“.

Panna Melcia (ksiądz w parafii, z której pochodziła, nadawał noworodkom takie imiona, jakie przypadały na dzień ich przyjścia na świat...) życie swoje poświęciła służbie Bożej i wygodzie armii Rzeczypospolitej, potrafiła jedno z drugiem połączyć tak umiejętnie, że nikt nie mógł jej z tego powodu uczynić najmniejszego zarzutu. Duchem służyła Bogu, ciało zaś ofiarowała na usługi armii, resztę dopiero czasu poświęcała rodzinie, pod której dachem zaś miała „wyżerkę, spanie, opranie i koszyczkowe“. A to ostatnie ściągała z całą bezwzględnością, jakiej nie powstydziłby się najenergiczniejszy egzekutor podatkowy. Dzięki wojnie i zmniejszonej przez nią liczbie mężczyzn młodych i zdatnych do małżeństwa, kawalerom musi się dogadzać i obchodzić z nimi jak z jajkiem, aby sobie innej nie poszukał. Trzeba mu zatem fundować i dbać o niego, jak ksiądz o Kaśkę, co połączone jest z wydatkami, na których opędzenie wymyśliły mądre głowy tak zwane „koszyczkowe“...

Panna Melcia miała zaś lotnika, którego zazdrościły jej wszystkie koleżanki i rade byłyby, gdyby się go dało jej odbić...

Po oddaniu Bogu co boskie, spędzała panna Melania w jego towarzystwie popołudnie niedziel i świąt, przeciągające się niejednokrotnie do następnego dnia rano, tyle sobie mieli ważnego do powiedzenia...

Pan Ludwik musiał się z tem pogodzić, bo i cóż miał począć?... Kto wie, czy nowa sługa nie byłaby gorszą.

„Narzeczony“ kochał bardzo gorąco pannę Melcię i dawał jej tego liczne dowody, o ile tylko sposobność się nadarzyła, obiecywał nawet, że ją kiedy weźmie ze sobą w powietrze:

— Kiedy ja się wstydzę!... — mówiła, rumieniąc się bardzo dystyngowanie. — A może ktoś z dołu zobaczy?...

— Kto tam miałby zobaczyć — mówił kawaler. — Będziemy wtedy tak wysoko, że nikt nie dojrzy nic, choćby panna Melcia była nawet bez tych... z koronkami...

— Pfe!... Jakże można!...

— A gdy tam będziemy już w górze, zbaranieje panna Melcia, widząc przy robocie mój propeller...

— Jakże może pan Jan używać w damskiem towarzystwie tak ordynarnych wyrażeń.. Powinnam się obrazić.

— O co?...

— O tego *„portalera“*.., o którym pan przed chwilą wspomniał. Ale myli się pan grubo, jeśli pan myśli, że mi pan potrafi nim zaimponować... Widziałam już nie takie, jak pański, a nie zbaraniałam... Ja się tam byle czego nie przelęknę...

Harmonia między obojgiem wzmagała się z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień. Chodzili razem do teatru, do kina, w Zielone Święta byli razem na Bielanach, skąd panna Melcia wróciła w Bardzo pomiętej sukience i powalanej



List otwarty kury do społeczeństwa.

Do Was się zwracam kochani Ludzie!
Znosiłam jaja w niemałym trudzie,
A obowiązki pełniąc przykładnie,
Myślałam, że mi kuper odpadnie.
Pracował dzielnie ród nasz koguci,
Każdy zawzięty w chwalebnej chuci,
Każdy swą pracę chętnie podwaja,
By zaopatrzyć świat w świeże jaja.
Pomyślny skutek wieńczył te dzieła:
Polska jajami swemi słynęła,
A każde jajo niby ananas!..
Lecz pytam jakaż korzyść stąd dla nas?
Kogut, gdy żyd go nie zjadł na szabes,
Jak cień wyglądał, bo dostał tabes.
Kura nie mogąc nieść bezustannie
Kończyła żywot swój na brytwannie.
A kto pociechę miał z naszych jajek
Oprócz handlarzy i bab szachrajek,
Bo dla chciwości i ich łakomstwa
Kurzego nawet brakło potomstwa,
Bo wywożono, nie bacząc na nic
Polskie jajeczka hen! do zagranic.
Dziś, jak donosi krakowski „Goniec"
Tej gospodarce ma być już koniec.
Nie będą mogli kupcy łajdacy,
Wywozić plonów koguciej pracy.
Dzięki wam za ten dowód kultury
Odpoczną sobie i biedne kury,
Które nosiły jaja na kopy,
Koguty zaczną swoje urlopy!

Nomen omen.

Biedne te nasze finanse! I za austryackich czasów pozostawiały wiele do życzenia, a i w Polsce nie zanosi się na poprawę, skoro Izbę Skarbową województwa krakowskiego pomieszczono w Zakładzie dla nieuleczalnych im. Helclów.

Białe na czarnem.

To jednak ciekawe, że się mówi ciągle: „czarne na białem", a nigdy „białe na czarnem"... Czyżby o to było tak trudno?

Wcale nie!... Bardzo łatwo może pan mieć i „białe na czarnem"... Należy tylko położyć murzyna na ławce, naturalnie plecami do góry, włożyć mu w jedyny otwór cielesny, w tamtę stronę skierowany, czarną rzodkiew, po tem ugryźć jej kawałek, a będziesz pan miał „białem na czarnem"...

Z fatalnych omyłek druku.

Z artykułu politycznego: W tym decydującym dla Japonii momencie włożył Mikado **Jama gacie** na serce...

A jednak miał szczęście.

(Podsłuchana rozmowa.)

— Słyszałem, że pan podobno wygrał milion?

— Tak.

— Pogratulować w takim razie...

— Niema czego!... Niepotrzebnie wdałem się w spekulacyę i przy tej sposobności straciłem cały majątek.

— W takim razie wyrazy współczucia....

— Nie na miejscu,.. Przy tej sposobności poznałem bowiem córkę mojego wspólnika i ożeniłem się z nią...

— Ha!... Proszę zatem przyjąć gratulacye...

— Gdyby to był powód do gratulacyi... Pokazało się, że to Herod baba, zazdrosna a przy tem zalotna do ostatecznych granic...

— Zatem... ubolewanie...

— I z niem się pan kiepsko wybrałeś... Koło mojej żony kręcą się wprawdzie różni młodzi ludzie, ale ja na tem wychodzę jaknajlepiej... Nadskakują mi oni i fundują na wyścigi, abym nie widział, co się koło mnie dzieje, a ja znowu nie jestem taki głupi, aby im dać poznać, że się czegoś domyślam... Obie strony wychodzą na tem dobrze, zwłaszcza zaś ja, mając na długie lata zapewnione, swobodne i wygodne życie...





Kuryer stracił debit na Śląsku.

Gwoli sensacyi i podłej blagi
„Kuryerek" na to miał dość odwagi
Aby wieść puścić z palca wyssaną,
Że Korfantego — zamordowano!..
Więc polskie władze wprost z obowiązku,
Cofnęły szmacie debit na Śląsku.
„Kuryer" w ostatnim swoim numerze
Rolę ofiary na siebie bierze,
I łże, że niemcom był tak niemiły,
Aż mu ich władze wstępu wzbroniły!
Jeszcze za Austryi, jej panowania
On znosił srogie prześladowania,
Których to cierpień nie było tamy.
Prześladowania te dobrze znamy,
Bo my nie damy wziąść się na kawał!
A kto wojenne pożyczki dawał?
Kto austrofilską rżnął propagandę?
Kto austryacką wysławiał bandę?
Kto chciał koniecznie Habsburga na tron?
To był „Kuryerek" — ten zacny patron!..
Napiętnowany został w tej chwili:
Nie Niemcy wstęp mu na Śląsk wzbronili,
Nie zarządzenia żadne „Ententy",
Lecz Władze polskie i sam Korfanty!

Artystka kinematograficzna.

Któż to taki ta facetka, której się kłaniałeś?

— To znana artystka kinematograficzna, panna X.

— Artystka kinematograficzna?... Przyznam ci się szczerze, że choć jestem stałym bywalcem wszystkich kino-teatrów, nie zauważyłem jej na żadnym filmie.

— Tak!... To być może... Ale ona przecież cały swój majątek, a ma w cale pokaźny, zawdzięcza tylko ruchom na prześcieradle.

zielenią... (Bardzo słusznie! Przecież to... Zielone Święta *przyp. zecera*).

Ale nadeszło Boże Ciało... Przez całą oktawę a nawet i w piątek po niej, odbywają się procesye, które bez panny Melci nie mogłyby się obejść. Zwłaszcza ta ostatnia piątkowa na Mały Rynek, w której miało wziąć udział trzydzieści biskupów. Jakże wyglądałaby, gdyby panny Melci tam nie było?... W takich warunkach schodził nawet i narzeczony na drugi plan, a chlebodawca i jego rodzina na... dziesiąty.

Panna Melcia należała do Stowarzyszenia św. Zyty, podczas procesyi występowała też w pełnej paradzie, w kostyumie niepokalanej białości, przepasana czerwoną szarfą. Była też jedną z dziewic Maryi, oddana pod opiekę wspólnego pasterza...

Otóż, ze względu na ową procesyę, która po raz pierwszy w tym roku miała wyruszyć na Mały Rynek z Wesołej, panna Melcia czyniła już od kilku dni przygotowania, aby wystąpić godnie i przystojnie. Nieszczęście jednak chciało, że jej białe pantofelki uległy zupełnemu zniszczeniu podczas procesyi... Zamkowej Niebacznie nogi rozstawiła szeroko z powodu kałuży i rozdarła się tekturowa podeszwa... — Panna Melcia była niepocieszona... Na zakupno nowych pantofelków jej fundusze nie pozwalały. na procesyi zaś musiała być, choćby tam miała się ziemia zawalić. Od czegóż zresztą są przyjaciółki?...

Znalazła się koleżanka, która miała nogi tego samego „kalibru" i od niej panna Melcia wypożyczyła parę białych pantofelków, dość już podniszczonych, mogących jednak przy odpowiedniej pielęgnacyi zezwolić jej na wzięcie udziału w procesyi.

Wyprała je należycie, wysmarowała kredą i wystawiła za okno na działanie promieni słonecznych.

Podpatrzył ją jednak synek pana Ludwika zgniewany na nią, iż dzięki niej musi chodzić cały tydzień w nieczyszczonych trzewikach, gdy wyszła z kuchni zabrał jeden z pantofelków, schował w pokoju pod łóżkiem ojca i, nic nikomu nie mówiąc, najspokojniej poszedł sobie do szkoły.

Gdy po pewnym czasie panna Melcia spostrzegła brak pantofelka, a wszelkie poszukiwania pokazały się bezowocne, wylała całe potoki łez i wezwała pomsty piekieł na złodzieja, uniemożliwiającego jej przyczynienie się do uświetnienia procesyi. Ostatecznie musiała się zdecydować na wdzianie zwykłych trzewików.

Gdy nazajutrz przy porządkowaniu pokoju znalazła swą zgubę pod łóżkiem chlebodawcy, zrozumiała, że nikt inny, tylko on wypłatał jej tego psikusa. I gdy w porze obiadowej wrócił pan Ludwik pod dach rodzinny, wykazała mu całą ohydę jego postępku, nazwała heretykiem, nie mającym Boga w sercu, i zakończyła słowami:

— To bardzo nieładnie z pańskiej strony!... Tego się po panu nie spodziewałam... Ja wiem, że pan się krzywo patrzy na to, iż ja nie siedzę ciągle w domu, bo to każdy mężczyna jest zazdrosny, a i wdowiec ma też czasem zachcianki... Ale trzeba mi to było powiedzieć, ja tam nie byłabym od tego, a nie chować mi pantofelek...

Pan Ludwik zrobił wielkie oczy, nic na to nie powiedział, gdy jednak nazajutrz znalazł się w gronie swych przyjaciół, rzekł:

— Baba potrafi wmówić wszystko w człowieka, jak w żyda chorobę... A w każdej z nich dyabeł siedzi, jak w owej żonie Putyfara, która kusiła Józefa... Ale i ja jestem taki Józef i raczej pozwoliłbym sobie urwać, byle nie połę surduta, bo ubranie teraz strasznie drogie.





Pokojówka kokoty: — Marna służba, nic nie można z boku zarobić, bo moja pani cały dzień w domu!



— Niegodziwa! powracasz od mężczyzny!
— Tak jest!..
— Co tam ukrywasz? List? daj go! ja z nim załatwię...
— Załatw mój drogi... Wracam od krawca, a tu mam jego rachunek!



Przed kontraktami teatralnymi.
— Teraz nie wiem czy zaangażować się do teatru, czy też do „Bagateli"?



Kelner: — Jakiś młody pan chciałby z panią mówić.
Dama: — Jeżeli nic więcej nie chce, to go odpraw!... Nagadałam się dosyć z tym starym!



— Pamiętaj Maryniu! pierwszą cnotą pokojówki być posłuszną pani, a wierną panu!



Modelka: — Mistrzu! musisz mi coś zaforszusować, bo jestem zupełnie goła!



Córka: — Hrabia jest bezczelny! Podczas kąpieli uszczypał mnie w łydkę.

Matka *(oburzona)*: — No! niechby sobie coś podobnego ze mną pozwolił!



Stary mąż: — Lekarz kazał mi się szanować!...
Żona: — Możebyś gdzie wyjechał?
Mąż: — Nie! lepiej jedź ty!

Ferdek Eleuteryk.



Odkąd *Głos Narodu* zabroł sie do Estraichera i nawymyślał mu od denuncyjantów, a „Kuryjerek“ zamordowoł Korfantygo, czytajoncy naród myśli, że wszystkie szmaciorze puskajom ćmoje i nie wierzy temu, co stoi w któryj szmacie czorne na biołem, choćby nawet nie było przytem petajnika. Ale to puskanie ćmojów to już szmaciorsko choroba. Bedzie temu ze dwadziścia roków, a może i wincej, jak chorowoł w Krakowie prefesór Dargon. Jednygo wieczora uśmierciły go krakowskie szmaty, a on w łóżku swój nekrolog czytajoncy, tak sie tym ucieszył, że żył jeszcze prawie misionc, a na złość szmaciorzom przeniós sie do wieczności akurat wtedy, kiedy oni grypsali, że mu jest lepij. Że *Kuryjerek* wyprawił Korfantygo na tamtyn świat, temu sie i nima być dziwującym, bo ostatycznie kużdy człowiek musi sie kiedyś przeniść na łono Abrahama. Korfanty jest człowiekiem, to i jego spotkać też musi to samo, później czy przódziej, a *Kuryjerek* miał boja, aby go kto nie uprzydził w podaniu tej wiadomości. Broni sie zresztą, że som nie wierzył w to, co grypso i lo tygo dał teligraf do swygo własnygo korespondenta z wilkim znakiem zapytania, bo ko munikacyo telefoniczna i telegraficzna z niebem była wtedy przerwano.

Z powodu onygo niedowierzanio szmaciarskim grypsankom i jo nie bede moij mowy kandedackij w dalszym ciongu wygłaszajoncy, gdyż gotów kto myśleć, że to ćmoje, gdy tymczasem to ino czysto prowda, czyścijszo nawet od wody z mijskigo wodociongu. Moij kandedaturze nic zresztom takie wziencie na zatrzymanie nie może być szkodzonce. Przyjdzie czas, to sie znowu puści pare ze zdwojonom siłom.

Zamiast się więc być chwalący, co jo to potrafie zdziałać w Synacie i Syjmie lub Radzie mijskiej, wole być kilka slów żałosnygo wspomninio byłemu ministrowi aprowizacyji, Grodzieckimu poświencajoncy, który, choć trawy jeszcze nie gryzie, poszedł przecie „na zielonom trawe“. Spełniły się na nim słowa Pisma świntygo, że „kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie“. A tym mieczem, który mu dogodził za krzywdę naszych żondołków były jaja. Kto go teroz spotko w Warsiawie, woło: „Panie minister, dawoj jaja“, a na komisyi aprowizacyjnyj uchwalono, aby za te jaja był pociongnienty do odpowiedzialności, a w razie potrzeby nawet za nie powieszony. Z temi jajami pana ministra była tako historyo: Pan Grodzicki, jako minister, wydoł pozwolinie pewnymu Towarzystwu, w którym som jest prezysem, czy jenszym wielgim dygnitorzem, pozwoleństwo na wywóz za granicę dwudziestu wagonów jojek. Zwąchały te jaja konkurenty, które ochote na to samo, a nie mogły dostać pozwoliństwa i złapały za nie pana mininistra, a w dolszym ciongu było sie okazujonce, że podobnie rzecz sie miała z wouglem, kanfinom i jenszemi artekułami, bez których musimy sie być obchodzoncy, a one całymi pociongami walą zagranice. My se tu musimy bez jajek rade być dajoncy, a tymczasem cieszom sie niemi Szwobki lub Czeszki. I na tych jajach skrencił kark pan minister i może gwarzyć, że mu nie wyszły na zdrowie. Ciekawa ino rzecz, czy mu tak nawymyślo jego nastympco, jak on to był swoimu poprzednikowi panu Śliwińskimu, czynioncy, choć ten ostatni był od nigo czyścijsze graby majoncy jako iż nimioł nic z jojkami do roboty.

Pan Grodzicki dał sie naszym kantynom we znaki, żegnajom go tyż z wielgom radościom, wielgie wystrzały wiwatowe na jego czyść oddajonce, z którego to powodu majestrot zamiast monki w dalszym ciongu jest fasole i pencak wydajoncy, aby naród miał być czym na wiwat szczylajoncy.

Jak to bywa.

Każdy sobie, jak tam może,
Zwykle skrobie rzepkę,
Więc u wdowy wynająłem
Dla siebie izdebkę.

Mała była to izdebka
I wilgotna nieco,
Ale za to miałem przecież
Opiekę kobiecą.

Więc siedziałem dniem i nocą
W podnajętej dziurze,
Bo dochody, jak poeta,
Miałem niezbyt duże..

Żem zaś czasu nie żałował
I grypsał zawzięcie,
Miała o mnie gospodyni,
Dość dobre pojęcie.

Lecz, gdym w końcu gospodyni
Jął zalegać z czynszem,
Rozkazała mi poszukać
Za mieszkaniem inszem!...

Oto zwykła dola naszej
Literackiej braci:
Czasem człek i taką dziurę,
Chociaż nie chce — straci!...

Co za sen!

A: — Czy ty się znasz na snach?
B: — Tak, cokolwiek!...
A: — Posłuchaj więc: — Śniła mi się taka wielka kałuża pełna kaczek, które w powietrze wystraszał jakiś gruby parobek!... Co to może znaczyć.
B: — Zaraz!... Kałuża, kaczki i gruby parobek? Wiem już!... Redakcya „Kurjera codziennego“!...

Pod jaworem.

Pod jaworem, pod zielonym,
na zielonej trawce
Przepędziłem z nią godzinę
na miłej zabawce...

Pod jaworem, pod zielonym,
popełniłem zbrodnię:
Powalałem na kolanach
całkiem nowe spodnie...

Pod jaworem, pod zielonym
suknię mojej damy
Siłą losu traf przystroił
też w zielone plamy...

Pod jaworem, pod zielonym,
— rzucam żart na stronę —
Ja i ona z mamy zgodą
graliśmy... w zielone...





Wygadała się niepotrzebnie.

Lokatorzy pewnej kamienicy oburzeni są, iż najmłodsza panienka pewnego małżeństwa nie pozwala im spać przez całą noc, wyprawiając takie krzyki, które mogły zbudzić ze snu nawet umarłego.

Rano omawianą jest sprawa, a w dyskusyi biorą udział przedstawiciele obojga płci, godzącej się na to, że malec krzyczeć nie powinien, gdyż noc jest przeznaczoną do spania, a nie na wyprawianie krzyków.

— Takiego nieznośnego bębna jeszcze nie widziałam w mojem życiu — odzywa się panna Mania urzędniczka pewnej instytucyi. Ja nie zniosłabym w domu czegoś podobnego...

— No, no... niechno panna Mania tak nie narzeka... — przerywa sąsiad — A nuż Pan Bóg da kiedyś dzieci?

— To z pewnością nie będą takie krzykliwe — panna Mania na to — Miałam już dwoje, a do dnia dzisiejszego prawie nikt o tem nie wie...

Z teki pensyonarki.

Pensyonarka — mówią — nie wie,
Co to miłość znaczy —
O, mylicie się panowie,
Bo to jest inaczej.

Proszę, Zosia, ta brunetka,
Wcale nie jest płocha,
A już przecież od tygodnia
Studencika kocha.

No, a Wandzia? Ta się sama
Nam przyznała wczora,
Że już kocha od miesiąca
Pana profesora!

A i Mani miłość słodka
Nie jest wcale obca:
Pokochała od stolarza
Z naprzeciwka chłopca!

I ja marzę o miłości,
Gdy spoczywam w łóżku —
Kogo kocham? Tajemnica!
Strzeż jej mój paluszku!

W pewnej redakcyi.

(Rozmowa.)

— A tośmy sobie narobili piwa tą wiadomością o śmierci Korfantego...

— W każdym razie była to senzacya. Żadne inne pismo nie podało o tem ani słowa... My byliśmy pierwsi!

— Tak! Ale za to wieszają wszyscy na nas psy...

— Ktoby sobie tam z tego co robił!... Napisze się artykuł, w którym całą winę zrzuci się na telefony i wezwie się ministra poczt i telegrafów do podania się do dymisyi... Sapiesze i Grodzickiemu daliśmy już radę... Mam już gotowy artykuł, iż tu nie chodziło o śmierć Korfantego, lecz o przyjazd księcia Hirohito do Paryża, a pomyłka nastąpiła jedynie z powodu wadliwego funkcyonowania telefonu „od naszego własnego korespondenta“.



Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

Muszę się przedewszystkiem pochwalić, iż obecnie na wzór wszystkich wielkich polityków i mężów stanu, mam już swojego własnego prywatnego sekretarza, pomagającego mi w załatwianiu urzędowych czynności, mnożących się z dnia na dzień. Do pracy się nie lenię, wiek mój przecież nie zawsze pozwala mi na należyte wywiązanie się z tego, co było moim obowiązkiem. Musiałem zatem postarać się o pomocnika i zastępcę. Wybór mój padł na młodego człowieka, bardzo energicznego i sumiennego, którego mi poleciła gorąco jedna z pań mieszkających stale w Paryżu. Nazywa się Piotr Doliński jest przystojny, pilny, co zaś najważniejsze, bardzo tęgi w piórze. A takiego mi właśnie potrzeba.

Początkowo miałem kłopot, zwłaszcza przy przedstawianiu go w damskiem towarzystwie, nazwisko jego bowiem *„monsieur Pierre Doliński"* brzmi wprawdzie bardzo obiecująco, ale po polsku dość nieładnie. Francuski tego jednak nie rozumieją, rodaczki nasze odnoszą się doń natomiast z ogromnem zaufaniem, a jedna z nich, niejaka hrabina Przezdziecka, prosiła mnie nawet, abym mu pozwolił przy jej boku objąć obowiązki sekretarza, bodaj chwilowo, bo jest do czasu wyrobienia zaległości, których chciałaby się pozbyć przed powrotem do kraju. Zgodziłem się na to, bo i jakże nie dopomódz rodaczce, znajdującej się w kłopocie między obcymi, zwłaszcza, że ona go potrzebuje w godzinach wieczornych, to jest wtedy, kiedy ja z jego usług z zasady nie korzystam.

Sekretarz mój wywiązuje się ze swojego zadania ku ogólnemu zadowoleniu, to jest memu, iż nie potrzebuję się zbyt męczyć, swemu, że ma ogromne szczęście zwłaszcza między kobietami i interesowanych, które chwalą sobie ogromnie jego pilność i gorliwość na każde skinienie, sprawność we władaniu piórem, jego tężyznę i dyskrecyę....

Początkowo radzono mi, abym sobie wziął sekretarkę, a kandydatek było co nie miara. Nie dawały mi spokoju ani w dzień, ani w nocy i to ostatnie mnie do nich zniechęciło. Po głębokiej rozwadze doszedłem do przekonania, że, po pierwsze, na sekretarkę jestem już za stary, miewają one bowiem czasem zachcianki, którym nie byłym wstanie zadość uczynić i to doprowadziło do tarć wzajemnych, obawiałem się nadto much lęgnących się w ich noskach, a jako człowiek łysy much bardzo nie lubię, po drugie zaś każdej z nich zachciewa się zaraz maszyny do pisania, aby miała na kogo spędzić winę za błędy ortograficzne, że „to maszyna fałszywie wybija". A ja w ciągłych mych rozjazdach chciałbym mieć koło siebie jak najmniej tłumaków. Sekretarz zaś, to zupełnie co innego. Załatwi się cicho i sprawnie, obetrze pióro, schowa, zapnie się i... po krzyku. Nikt nawet nie wie, że załatwił swą czynność urzędową.

Spodziewam się, że połowę kosztów utrzymania mojego sekretarza przyjmie na siebie Redakcya, drugą pokryje niezawodnie Liga Narodów, o co poczyniłem odpowiednie kroki. Jeden Llyod George mógłby chyba bruździć, aby się w ten sposób zemścić na mnie, iż zerwałem z nim dyplomatyczne stosunki.

O, bo ja mam swoje święte zasady, którym pozostaję wiernym, aż do śmierci i nie sprzeniewierzę się im chyba, gdyby było tego potrzeba. Z Lloydem George'm zerwałem raz na zawsze i nie ma obawy, abym się z nim tak prędko pogodził. Mój krok, jak mi donosił w prywatnym liście lord Curzon, ugodził go w samo serce. Gdy otrzymał mój list, ogarnęła go szewska pasya, iż nie opłacony. Wiedziałem zatem, czem mu najbardziej dokuczę. Że przeczytawszy go, nie padł jak długi na ziemię, ma to do zawdzięczenia tylko temu, iż leżał właśnie na kanapie. Zerwał się przecież na równe nogi, zaklął pod nosem i zasiadł do napisania listu do mnie. Marki na nim także nie nalepił, prawdopodobnie w tym celu, aby list tem pewniej doszedł rąk adresata.

List ten, który przybiłem na gwoździu w moim tajnym gabinecie, brzmi, jak następuje:

„My dear Clapson!

Tego się po Tobie nie spodziewałem. Byłem pewny, iż przynajmniej Ty mnie rozumiesz, widzę jednak, że się zawiodłem. Historya oceni kiedyś moje czyny, a Wy się przekonacie, jak fałszywie mnie sądzicie. Ja Polsce życzę jak najlepiej. Radbym, aby znalazła się pośród przyjaciół, nie pośród wrogów. Staram się umniejszyć Wam kłopotów, a Wy tego nie chcecie rozumieć. Podzieliłem Śląsk Cieszyński między Was i Czechów, a Wam się to nie podoba. Tak samo chcę postąpić i z Górnym Śląskiem, aby Wam i z tej strony zapewnić spokój. Polska bez Gdańska, Wilna i Lwowa będzie Polską w całem tego słowa znaczeniu. Nie wątpię, że przejrzysz, uznasz swój błąd i wrócisz na łono szczerze się kochającego przyjaciela.

Uważaj się za pocałowanego przez Twego do śmierci

Lloyda George".

Odpisałem mu na to krótko i węzłowato:

„Panie! Między nami wszystko zerwane. Możesz sobie szukać przyjaciół między takimi Radkami Sobelsohnami, którzy powiedzieli, że traktat wersalski to świstek papieru, a Ty stwierdzasz to czynami. Jesteś ordynarnym handelesem, który powinien był dążyć do tego, aby sprawę górnośląską rozstrzygnął nie plebiscyt, lecz publiczna licytacya, „kto da więcej". Ale nam mydlić oczy, a z Niemcami tymczasem pokątnie handlować o naszą skórę, to łajdactwo. Kto wie, czy przy licytacyi nie byllibyśmy się my utrzymali, ofiarując więcej niż Niemcy. A miałbyś z tego i tę jeszcze korzyść, że dotrzymalibyśmy zobowiązań, gdy tymczasem oni puszczą Cię z kwitkiem.

Z taką polityką, mówiąc grzecznie... do latarni.

Żegnam Cię po polsku słowami „Bez mąki", a ty zechciej je po francusku zrozumieć".

Wyobrażam sobie, jak go musiała trząść cholera, gdy czytał me słowa. W każdym razie nie mniejsza, niż mnie w ubiegłym tygodniu.

Bo i cóż mi się zdarzyło?... Wyczytawszy w *Kuryerku* „telegram własny" o śmierci Korfantego, napisałem do niego list z wyrazami współczucia, że w tak młodym wieku i w tak ważnej dla nas chwili zeszedł ze świata. I proszę sobie wystawić, jaką musiałem zrobić minę, gdy po kilku dniach otrzymałem od Korfantego własnoręczny list, datowany nie z nieba, lecz z miejsca postoju główny kwatery powstańczej na Górnym Śląsku, w którym mi donosi, że jest zdrów, żyje i na razie umierać wcale nie myśli. Zakończył słowami: „Niech Panu zwróci pieniądze ten, kto Pana tak szpetnie wykiwał".

Wobec tego zakazałem mojemu sekretarzowi, aby odtąd nigdy *Knryerka* nie kupował. Gniewa się redakcya, że odebrano jej debit na Górnym Śląsku, mój zaś zakaz powinien ją ugodzić w samo serce, byłem bowiem zawsze stałym czytelnikiem, który studyował pilnie nie tylko *Kuryerkowe* artykuły polityczne, właśne telegramy od korespondentów w Esplanadzie i u Bisanza, wiadomości o wesołych zdarzeniach w rodzinie szympansów, czarnych perłach, biegach okrężnych, ale nawet i ogłoszenia. Żal mi, co prawda, rozstawać się z *Kuryerkiem*, którego format bardzo był odpowiedni do wszelakiego domowego użytku, nie mogę jednak postąpić inaczej, a już sekretarza mojego w tem głowa, aby i większe arkusze naszej popularnej prasy przykroił w ten sposób, by nie marnować papieru będącego dziś w takiej cenie.

Sekretarzowi mojemu się spieszy, gdyż czeka nań jego hrabina, kończę zatem, polecając się Waszej pamięci.

Klapa.

ooo

Dla amatorów starożytności.

Donoszą z Berlina, iż u jednego z tamtejszych antykwaryuszów wystawiono na sprzedaż łóżko, na którem swojego czasu uratowała królowa Ludwika losy Germanii. Z powodu przypadającej właśnie na rok bieżący stuletniej rocznicy śmierci Napoleona, sprzęt ten powinien tem łatwiej znaleźć chętnych nabywców...

o o

Z literatury.

A jednak Mickiewicz nie był zbyt ścisły... Opisuje naprzykład w „Panu Tadeuszu", że Telimenę oblazły mrówki, i że zachęcała pana Tadeusza, by je jej pomógł łowić, a nie dodaje, jak się do tego zabrał i jak się z zadania wywiązał.

ooo

Czerwonka.

(Rozmowa kokotek)

— Co się dzieje z Mańką?...

— Biedaczka zapadła na czerwonkę... Stan bardzo poważny...

— Żal mi jej!... I ja jestem w poważnym stanie i dałabym bardzo dużo, aby mieć znowu „Czerwonkę", na którą czekam napróżno od trzech miesięcy...

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Liwińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Kramłowski Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarz. St. Kowalskiego.



On: — Ty śpisz?

Ona: — Nie! nie przywykłam leżeć w tej pozycyi!